

Alternatywa w Polskim, czyli START – reaktywacja

JULIUSZ TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrológ.

Lubię to! 8



Fot. Marek Zakrzewski

W Poznaniu reaktywano Festiwal Studenckich Teatrów Debiutujących START. Impreza ta, zainicjowana w roku 1970, odbywała się w różnych miastach, a do Grodu Przemysława zawitała dwukrotnie – w 1988 i 1989 (dyrektorem obu edycji był Jerzy Moszkowicz). Potem zniknęła, podobnie jak cały „do-ówczesny” porządek świata. Warto pamiętać o tym, że triumfator ostatniego STARTU 89 był Studencki Teatr Biuro Podróży z Poznania, kierowany przez dzisiejszego dyrektora Teatru Polskiego, Pawła Szkotaka.

Dziwnym trafem jedna z tegorocznych „startowych” propozycji – *Spowiedź szaleńca*, oparta na adaptacji powieści Augusta Strindberga, grana była w tymże Teatrze Polskim, w dodatku jej głównymi twórcami okazali się profesjonalni artyści: Łukasz Zaleski (reżyser) i Przemysław Chojeża (aktor). Alternatywna prezentacja w instytucjonalnym teatrze, przygotowana przez zawodowców? Cóż, alternatywa niejedno ma imię – nawet w dawnych poznańskich START-ach nie startowali sami studenci oraz amatorzy. A potem przyszła Malta-Off, suwalski SET, szczeciński Kontrapunkt i wszystko się wymieszało. Poza tym okazało się, że monodram Chojeży w reżyserii Zaleskiego jest przygotowany w ramach działań Pracowni Inicjatyw Aktorskich PINIA, stanowi zatem alternatywę wobec głównego nurtu produkcji Teatru Polskiego. Czyli wszystko w porządku.

Dziwiło mnie tylko, że START zorganizowano w Poznaniu równoległe z Maltą, ale przyszło mi do głowy, że to może jakaś kolejna odnoga tego festiwalu, który przecież ostatnio „połyka” rozmaite, najróżnorodniejsze inicjatywy z żarliwością godną wielkiego, wciąż nienażącego żarłacza. Zdziwiłem się dalej faktem, że do festiwalu o alternatywnych tradycjach dopuszczono monodram oparty na napisanej po francusku dziewiętnastowiecznej powieści szwedzkiego naturalisty, ale w końcu nie od dzisiaj wiemy, że wszelką literaturę można inscenizować na bardzo różne sposoby, a alternatywa teatralna niejedno ma imię.

I rzeczywiście: zaczęło się niekonwencjonalnie – w foyer pierwszego piętra. Na ogół właśnie tam, w przerwach spektakli, na zapleczu głównych łóż, kwitnie życie towarzyskie. Tym razem było alternatywnie – usadzono nas w dwóch rzędach krzeseł i foteli (kilkoro spośród tych, dla których zabrakło miejsc, usiadło na podłodze – ach, dawnych wspomnień czar! Ileż to razy mnie się to za młodo przydarzyło, na START-ach, Konfrontacjach, Spotkaniach, Przeglądach...), po czym do sali wszedł aktor. Niestety, nie byłem w stanie go zobaczyć, bo mój fotel został ustawiony tak, że stojący w przejściu ludzie zasłaniali mi kompletnie widok, ale cóż – nie takie niedogodności się drzewiej cierpieć dla dobra niekonwencjonalnej sztuki. Zresztą (podobnie jak kilkoro ludzi dzielących mój los widza-niewidza) byłem regularnie informowany o tym, co się w głębi foyer dzieje, przez małżonkę siedzącą obok (bo ona, kiedy się wychyliła, widziała wszystko!), więc nie ma co narzekać.

Tymczasem półnagi aktor podzielił swe ramiona i tors na cały szereg stref (przypominało to podział ciała wołu lub świni na rozmaite rodzaje mięs, rodem z rzeźniczych instruktaży), ponumerował je i zaprosił widzów do wybrania któregoś z numerów. (W ten sposób bezpośredni kontakt i współpraca zostały nawiązane – jak za dawnych dobrych lat!). Gdy takowa propozycja padła, aktor (teraz to już tytułowy Szaleniec) rozwinął opowieść o tym, jak jego była kobieta traktowała to ramię i co w związku z ramieniem mu się z nią kojarzy. Po dwóch kolejnych sugestiach ze strony widzów, które spowodowały dwie kolejne sugestywne opowieści o niewieściej płochości, niefrasobliwości bądź (częściej) wredności, aktor wyszedł z foyer, a panie z obsługi zaprosiły nas do kameralnej Galerii – małej, wybitnie alternatywnej salki Teatru Polskiego. Na jej progu czekała na nas pokaźna przeszkoda w postaci... aktora – Przemysław Chojeża tam właśnie leżał, na samym progu, i trzeba było ostrożnie przekroczyć jego bezwładne ciało, by wejść do sali. Przez film mej pamięci przelecieli rozliczni półnagzy aktorzy teatru studenckiego z lat 70., leżący w różnych malowniczych pozach na podłodze bądź tarzający się albo spazmatycznie pełzający po tejsze i wykrzykujący w tym tarzaniu bądź pełzaniu kolejne egzystencjalne albo polityczne bluźnierstwa. No i proszę – leżenie jako twórce nawiązanie do tej tradycji odżyło na kolejnym, reaktywowanym STARCIE!

Boczne ściany Galerii aż do pierwszego rzędu krzeseł pokrywały (nalepione na wielkie papierowe plachty) obrazy, malunki i zdjęcia kobiet z epok dawnych i z naszej nowoczesnej epoki – nagich, półnagich, ubranych, przystrojonych w rozmaite fatalaszki: kobiece bestiarium emanujące seksapilem, kuszące, a czasem przeciwnie – odstręczające; namiętne, obojętne – pełny zestaw kulturowo uwarunkowanych wizerunków reprezentantek płci żeńskiej. A koło każdego z tych obrazków przyklejona była żółta karteczka z notatkami pisanymi jedną ręką (zapewne ręką Szaleńca), z komentarzami dotyczącymi na ogół związków danego obrazka z jego byłą. Cóż za malownicza obsesja, a zarazem świetne tło dla ataków szału i namiętności!

Panie kierujące naszymi poczynaniami (niealternatywne jakieś, ale to nic dziwnego – Teatr Polski tylko używał sali wraz z obsługą) zachęciły nas dość kategorycznie do zajęcia miejsc na widowni. Jako weteran dawnego studentwa i alternatywy byłem bardzo zdeterminowany, by nie usiąść w pierwszym rzędzie (a tam miałem wyznaczone biletem miejsce), wiedziałem bowiem, że gdzie jak gdzie, ale w spektaklu alternatywnym aktor na pewno będzie zaciepiał widzów z pierwszego rzędu, wciągając ich do akcji. (Całkiem niedawno musiałem dość obcesowo zareagować na takie zachęty i nie miałem zamiaru powtarzać tego doświadczenia. Dodam jednak, że tamten incydent nastąpił w miejscu wybitnie alternatywnym – sali baraku poznańskiej Sceny Roboczej). Zajęcie przez nas z małżonką miejsc w drugim rzędzie spowodowało drobne zamieszanie, ale nie takie niedogodności pokonywało się drzewiej – kto przeżył szturm na *Przeczeń dla wszystkich* Teatru Ósmego Dnia pod salą poznańskich „Masek” podczas Finału VI Festiwalu Kultury Studentów PRL (1978) albo ugniatanie żeber przed dowolnym spektaklem Mądzika w dowolnym miejscu Polski, dla tego takie zamieszanie to przysłowiowy pikus.

I miałem rację, bo aktor niedługo po powstaniu z ziemi zagonił dwie dziewczyny z pierwszego rzędu do ustawienia czterosiedzeniowego rzędu teatralnych foteli *en face* widowni, krytycznie potem oceniając (trzeba przyznać: w dość delikatny sposób) fakt, że zrobiły to nie tak, jak trzeba. Dodam, że utyskiwanie owo miało subtelny wydźwięk antykobiecny, z czego wynika, że zaczepione i wciągnięte do akcji mogły być tylko panie. Wniosek z tego taki, że gdybym nawet siedział w pierwszym rzędzie, zapewne nie zostałbym zaangażowany do tego działania. Natomiast nadal w niebezpieczeństwie byłaby moja małżonka. A gdyby doszło do próby jej delikatnego choćby obrażenia, musiałbym zareagować i wtedy spektakl mógłby zostać zerwany, co się zresztą na dawnych STARTACH wielokrotnie zdarzało. Swoją drogą, z przyjemnością odnowiłbym tę więź współczesności z tradycją. Może trzeba było jednak usiąść w pierwszym rzędzie?

Aktor-Szaleniec podjął i rozwinął tymczasem cały szereg działań scenicznych, z których ciekawe było np. zrobienie sobie kisielu i spożycie go niemal w całości. Potrzeba było do tego niewielu rekwizytów – opakowanie z kisiem w proszku, elektryczny czajnik, łyżka i kubek cierpliwie czekały na stole w kącie sceny. To szlachetne nawiązanie do tradycji „teatru ubogiego”, uprawianego na potęgę przez studenckie grupy teatralne z lat 70., rozczuliło mnie i nasunęło całe morze wspomnień. Rozczulenie to uległo wzmocnieniu, gdy artysta (ubrany już w biały podkoszulek) wyrzucił z siebie, miotając się i tupiąc, pokaźny stek wulgaryzmów – ileż tego człowiek się nasłuchał dawnymi czasy w rozmaitych małych salkach domów kultury, podobnych Galerii Teatru Polskiego, tyle że o wiele BARDZIEJ przasných i gorzej wyposażonych. No, ale mamy w końcu START’15, a nie START’75.

Niestety, surowa poetka „teatru ubogiego” została zakłócona przez projekcję wideo na ścianie na wprost widowni – mieliśmy tu nagą kobietę tulącą do piersi zawiniątko zamierzające zapewne niemowę, ale tego nie mogąc na sto procent potwierdzić, bo niewidząca nie było widać. Pod koniec, gdy Szaleniec się nieco uspokoił i snuł bardziej autoliryczne, mniej agresywne wyrzekania, obraz na ścianie przedstawiał słońce zachodzące nad jeziorem i okalającym je lasem. (Słońce zachodziło powoli – równoległe do kolejnych zwierzeń Szaleńca. Czas realny mieszał się z filmowym – no, Bob Wilson w 1973 lepiej by tego nie wymyślił!).

Na koniec mieliśmy kolejne, tym razem ostatnie apogeum: gdy Szaleniec już całkiem do końca nawyrzekał na swoją byłą, gdy zdradził nam wszystkie swe najbardziej zasadnicze do niej pretensje, wylał na siebie wodę z dwóch plastikowych pięciolitrowych butelek. Bravo! Ten akt samoumartażenia przypomniał mi liczne podobne akty, zapoczątkowane słynnym samobiczowaniem się Ryszarda Cieślaka w *Księżcu niezłomnym* Teatru Laboratorium (1965). Woda lała się na głowę i ciało aktora nadzwyczaj szybko – brawa za sprawne opanowanie wylewania z butelki! Dziesięć litrów chłodnej wody chyba go otrzeźwiło, bo pożegnał nas, w tym także licznie zgromadzone panie, szerokim uśmiechem i zniknął za drzwiami.

Niestety, wkrótce potem dowiedziałem się, że festiwal START nie został reaktywowany i że obejrząny przez mnie spektakl wchodzi po prostu do repertuaru Teatru Polskiego, będąc skłerozą i związana po trosze z nimi nostalgija za dawnymi czasy robią swoje – nie pierwsza i nie ostatnia to pomyłka. Niemniej czuję szczerą wdzięczność dla twórców tego przedstawienia, bo rozbudziło ono we mnie całą moc młodzieńczych wspomnień. Dziękuję zatem autorom nowoczesnej, przenikająco dosadnej adaptacji tekstu Strindberga, dziękuję reżyserowi za owe tak śmiałe, a zarazem nostalgiczne odwołania do *environn theatre* z lat 60. i 70., za na wskroś ubogą, postgrotowską insceniszację (projekcje wideo już mu działają) i wreszcie za bardzo dobre nakierowanie aktora na skrajną szczerłość w wybuchach autoagresji, tak miłych memu sercu (wdzięczność tę skierowałem w sposób odpowiednio dobitny ku dawnym twórcom teatru studenckiego lat 70. w szkicu-pamiętnie *Młodości*, „Dialog” 1981 nr 8). Dziękuję wreszcie aktorowi za poświęcenie, pamfletienie się w prugu i szczerze odsłonięcie rozterek zdradzonego męża oraz wybuchów szaleństwa.

Na koniec pozwól sobie na wzniesienie okrzyku: „Stara alternatywa wiecznie żywa!”.

2-09-2015



Spowiedź szaleńca
według powieści Augusta Strindberga
przekład: Janusz Bogdan Roszkowski
adaptacja: Justyna Litkowska, Maciej Litkowski
reżyseria i opracowanie muzyczne: Łukasz Zaleski
scenografia i kostiumy: Kornelia Trawkowska
wideo: Ernest Wróczyk
występuje: Przemysław Chojeża
premiera: 20.06.2015

TAGI: Łukasz Zaleski, August Strindberg, Kornelia Trawkowska, Poznań, Teatr Polski w Poznaniu,

Udostępnij

Lubię to! 8

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę:



KOMENTARZE (0)